Nr. 45. We Lwowie, Poniedziałek dnia 10. listopada 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Buenos-Ayres.

w październiku 1890 roku

Nagle, wśród nagiej płaszczyzny, gdzieś tam daleko, tam gdzie ziemia spływa się z niebem, ukazuje się jakiś punkt ruchomy.

Obłok?... czy ptak?...

To coś zaczyna niebawem wzrastać. Ukazuje się słup kurzu, sunie się niby wir, w którym ruch tylko rozróżnić można. Nareszcie słup rozdziera się i widać człowieka ubranego czarno, na czarnym spienionym koniu, którym kieruje samemi kolanami, pędzącego szalonym galopem. Ten cyklon miniturowy zbliża się, mija i ginie gdzieś znów w tym ponurym ogromie, po którym podróżuje się przy pomocy busoli.

To gaucho, jadący do Buenos-Ayres po niezbędne sprawunki — gdyż Pampa nie produkuje nic — albo wracający do swego corralu gdzie żyje w towarzystwie stad swoich. Ten koń kary, z czerwonemi nozdrzami, z krwią zaszłem okiem, z pyskiem zapienionym, z długim ogonem, powiewającym niby czarny pióropusz, może jest dziesiątym, którego gaucho dosiada w tym dniu, i na którym przebywa olbrzymie przestrzenie nie słabnącym ani na chwilę galopem. Gdybyście go mogli widzieć przed godziną, ujrzelibyście jak rozpuszcza lasso przyczepione do pasa, jak je rzuca między pierwsze lepsze stado dzikich koni jakie spotyka na drodze, chwyta dzikiego źrebca, zeskakuje ze swego konia, zdejmuje z niego siodło, tręzlę, szerokie strzemiona z litego srebra, — gdyż gaucho cały swój majątek wkłada w rysztunek swego konia — siodła schwytane zwierzę, zakłada mu tręzlę i rusza dalej.

A strój jego?... Pod tem niebem ogni tem, wśród tego kurzu piekącego, gaucho cały okryty jest czarnem suknem. Czarne ma szerokie pantalony, podobne do żuawskich, tylko jeszcze szersze kończące się u kolan, po które sięgają buty z ostrogami, czarny kaftan, czarne poncho, kwadratowy kawałek sukna z dziurą w środku wykrojoną, w którą wsadza głowę; czarną wełnianą chustkę, która mu otacza szyję, a którą my zniesłibyśmy chyba w ostre zimna; czarny wreszcie kapelusz pilsniowy.

Jesteśmy w kraju hiszpańskim, gdzie panuje tyrania czarności.

Za pasem skórzanym, ozdobionym ciężkiemi arabeskami srebrnemi, gaucho ma zatknięty nóż rzeźnicki i nieodstępny rewolwer; na ramieniu, przewieszony na rzemieniu karabin.

Wśród płaszczyzn, które przebiega czuwając nad tysiącami owiec, wołów i koni, pieczy jego powierzonych, niema ani miast, ani wiosek ani chat, ani zajazdów; — jest tylko corral: ogrodzenie, utworzone z powbijanych w ziemię pali, połączonych drutem żelaznym, w które zapędzają zwierzęta przeznaczone na rzeź albo do cechowania. Corral nie jest rzeczą stałą; dzisiaj tu, jutro tam, stosownie do kaprysu i wygody gaucha. A ponieważ dla stada jego potrzeba setek kilometrów pastwiska, ponieważ nie ma żadnych ani dróg, ani ścieżek, ani żadnych odgraniczeń wśród jednostajnej Pampy, — gauchowie w corralach pozostają zupełnie odosobnieni; czasem tylko bywa ich dwóch albo trzech razem. Na schronienie nie ma nawet namiotu. Kładzie się na ziemi, głowę wspiera na siodle, pod brzuchem konia, albo w cieniu olbrzymiego wozu, pomalowanego na czerwono, podobnego kształtem i objętością do wozu kuglarza jarmarcznego. Jest to okręt Pampy; tam składają się skóry, rogi, kopyta zwierząt, które gaucho przesyła do Buenos-Ayres na wywóz za granicę.

A czem on się żywi?... Jadłospis jego nie jest ani długi, ani zbyt urozmaicony. Baran cały, wbity na rożen żelazny, utkwiony w ziemi, piecze się przy smutnym i smrodliwym ogniu z wyschniętych krowich ekskrementów i łbów baranich. Zkądżeby gaucho wziął innego ognia? Na Pampie drzew niema. Gdy pieczeń się dopieka, gaucho ukrawa nożem długi krwawy kawał mięsa, niesie go do ust, ugryza, połyka, i tak dalej, aż dopóki cały kawał nie zniknie w jego żołądku. Chleba niema wcale; to zbytek którego pozwala sobie w dni uroczyste, kiedy świeżo powróci z Buenes-Ayres. Sól?.. Soli niema także; to artykuł nieznany wśród Pampy.

Nawet w mieście sól jest jedynie przywilejem ludzi bogatych; przywożą ją z Anglii w małych szklannych słoikach.

A woda?... Wody ma kilka kropel w tykwie, słonawej i zawsze w niedostatecznej ilości. Zkądżeby on wziął tej wody?... Woda wśród Pampy to taka rzadkość jak dukat w kalecie żebraka. Gaucho pija wódkę zwaną cana, nie bardzo mocną i dosyć smaczną, pędzoną z trzciny cukrowej. Powie kto może: „Toć to życie gorsze niż więźnia na galerach!”... Gaucho je lubi, ma w niem upodobanie i nie myśli go porzucać. Jako hiszpan lub bask z pochodzenia, jest on skromny z natury. A potem wśród Pampy jest swobodny, niezależny jak ptak niebieski, jak indjanin, który także buja wśród Pampy, i z którym gaucho wymienia niekiedy strzały.

Ta pustynia, to jego państwo.

A im pustynia większa, im bardziej naga, tem on bardziej czuje się jej panem i władcą. On potrzebuje widzieć dokoła siebie te pustynie bez granic; on tam pełnemi piersiami oddycha skwarem południowym, upaja się szalonym pę

dem dzikiego rumaka; — zuchwały, dumny, nie lęka się niczego, oprócz Pampera.

Tak się nazywa wicher Pampy, burza kurzawy.

Zrazu, w stronie zachodniej tworzy się ogromna opona barwy miedzianej, ze złowrogiemi refleksami, która dźwiga się szybko, ogarniając wszystkie warstwy atmosfery; nastaje noc, czarna gęsta.

Ziemia i niebo zlewają się w jedną barwę, przerażającą. Rzekłbyś, że niebo ztwardniało, że coś pochłonęło atmosferę. Czujesz się między dwoma ścianami piasku, jedną pod nogami, drugą nad głową. A kiedy pocznie wiać ten wicher Pampy, ten straszny Pampero, to najpotężniejszym okrętom nie pozwoli wpływać na rzekę La Plata, miota niemi i rzuca jak łupinami; albo jeżeli już stoją na kotwicy, w pośrodku Rio zrywa ich łańcuchy, podnosi je i ciska niekiedy aż na ulice Buenos-Ayres. Kto nie widział nie zdoła sobie wyobrazić całej grozy tej atmosfery miedziano-żółtej z wielkiemi czarnemi albo brunatnemi plamami, według większej lub mniejszej grubości mas podniesionej w górę ziemi, która opada gęstym zbitym deszczem ognia i ciemności!

To oślepia, dławi, grzebie człowieka.

Biada gauchowi zabłąkanemu w taki dzień wśród Pampy zdala od corralu. Ale to trudno, niema róży bez cierni. Na pustyni, Pampero jest odwrotną stroną medalu, którego główna strona zowie się: Wolność!

Z nowel Tołstoja.

Jak dużo ziemi potrzeba człowiekowi?

(Dokończenie).

8.

Pachom wstał — zbudził parobka, śpiącego w tarantasie, kazał zaprządz i poszedł pobudzić Baszkirów.

— Czas wyjeżdżać w step“ zawołał. Baszkiry wstają, gromadzą się, przybywa i najstarszy. Piją kumys i częstują Pachoma herbatą. On nagli do odjazdu.

— Jak jechać, to jechać — woła — już najwyższy czas.

Baszkiry zabierają się jedni konno inni w tarantasie. Pachom z parobkiem swoim. Przybyli w step, właśnie słońce wschodzące step różowiło, wyjechali na wzgórek. Najstarszy zbliżył się do Pachoma i wskazał ręką na step.

— Wszystko to co chycisz okiem jest nasze Wybieraj do woli.

Oczy Pachoma zabłysły: jak okiem sięgnie, ziemia gładka jak dłoń, czarna jak smoła, w zagłębieniach trawa wysoka po piersi. Najstarszy zdjąwszy lisią czapkę, położył ją na środek pagórka i rzekł:

— I to jest znak; tu połóż pieniądze, twój parobek także tu stanie. Z tąd masz wyjść i tutaj powrócić. Wszystek kraj, który obejdziesz, do ciebie należeć będzie.

Pachom dobył z za pazuchy pieniądze i złożył je do czapki, zdjął z siebie kaftan, tak, że został tylko w kamizelce, zawiesił na sobie torbę z chlebem, uwiązał na rzemieniu płaską flaszkę z wodą. podciągnął cholewy i był gotów do drogi. Rozmyślał tylko, w którą się rzucić stronę. Wszędzie równie ślicznie. Myśli tedy pójdę ku wschodowi twarzą do słońca, niecierpliwi się i czeka, aż się słonko pokaże. Szkoda czasu myśli w chłódku lżej się idzie. Jeźdźcy stoją po za nim. Jak tylko słońce zabłysło, puścił się w drogę jeźdźcy za nim.

Nie szedł ani za wolno, ani za prędko. Uszedł tak może z wiorstę, gdy nie zatrzymując się rozkazał wbić pal. Niedługo przyspieszył kroku i w krótce kazał drugi pal wbijać. Obejrzał się za siebie: pagórek jeszcze widno a i ludzi na nim. Po słońcu widzi, że uszedł z pięć wiorst. Zgrzał się trochę, więc zrucił kamizelkę; po długich pięciu wiorstach, dokuczało mu słońce spojrzawszy na słońce przekonał się, że czas na śniadanie. O, zrobiłem już dobry kawał drogi— myśli sobie. prawda że przez dzień takie cztery odbyć trzeba... ale skręcać to jeszcze zawcześnie. Zdejmę buty. Usiadł ściągnął buty i szedł dalej teraz mu było daleko lżej. Myśli sobie: pójdę jeszcze pięć wiorst, poczem skręcę na lewo. Im dalej tem piękniej — i szedł ciągle przed siebie. Gdy się obejrzał, zaledwo, że mógł dojrzeć pagórek, a zaś ludzie czyste mrówki.

Teraz już na prawdę zwrócić się trzeba — wyrzekł. Ależem się setnie zgrzał. Napiję się trochę. Dobył flaszki — pił z niej — idąc kazał wbić jeszcze jeden palik — poczem zwrócił się w lewo. Szedł, szedł i było mu coraz goręcej. Czuł już umęczenie. Spojrzy na słonko... ot południe. Trzeba wypocząć — pomyślał. Przystanął i zajada chleb. Jak skoro usiędziesz, to i zaśniesz! Postał więc trochę wysapał się i szedł dalej. Z razu szło lekko. podjadłszy nabrał nowych sił. Ale był setny upał i sen zaczynał go morzyć. Uczuł wielkie zmęczenie.

Tym bokiem szedł do 10 wiorst, już chciał skręcić na lewo, lecz spojrzał: prześliczna okolica, dolina lekko pochylona, szkoda jej jak tu len musi wschodzić! Idzie więc prosto, zabiera całą dolinę i każe wbijać paliki. Dopiero teraz zrobił drugi kąt. Spojrzawszy na daleki wzgórek, zaledwie że dojrzał na nim ludzi. Mogło być do nich 15 wiorst. Dwa pierwsze boki były za długie, trzeci więc trzeba wziąć krótszy. Wprawdzie posiadłość będzie krzywa ale co robić? Trzeba kręcić a potem już prościutko ku pagórkowi i czemprędzej — po co zbaczać, mam i tak ziemi w bród. Zwrócił się i kroczył wprost ku pagórkowi.

Nogi okropnie go pieką i bolą... bo się też schodził, schodził!... kucnął, żeby trochę wypocząć, ale nie można, szkoda czasu, przed zachodem słońca musi przybyć na miejsce. A słońce nie poczeka! Pędzi tedy, jakby go kto gonił.

Czym też nie za dużo ziemi zabrał? Gdybym tak w porę nie przyszedł?... Jeszcze byli kawał drogi — o jestem prawie bez tchu. Oj, oj, może mój cały znój i moja krwawica przepadła. Dalej choćby paść przyszło!

Otrząsnął się i pobiegł szparko Z nóg ciecze krew, on biegnie. Biegnie i biegnie ciska na prawo kamizelkę, buty na lewo, flaszkę, czapkę i biegnie, pędzi, goni naprzód... Bez zachłan-

ność popsuję wszystko, do zachodu słońca nie dojdę celu.

A tu coraz gorzej, bo ze strachu tchu złapać nie może. Nic to! pędzi, koszula i spodnie przylgnęły do ciała, w gębie wyschło, płuca pracują,jako miechy w kuźni, serce bije młotem kolana jakby nie jego uginają się.

Już prawie że nie myśli o ziemi; myśli tylko o tem, jakby nie paść z wysiłku. Tak nie chciałby umrzeć, ale zatrzymać się przecież na może!... Taki kawał już przebiegłem jak teraz ustanę nazwą mnie głupcem!

Baszkiry—słyszy najwyraźniej—kwiczą, nawołują. Te krzyki jeszcze bardziej go rozpalają. łędzi, wysilając resztki mocy — słonko już na samym brzasku — ale już tylko kąsek do pagórka.

Widzi jak Baszkiry kiwają, słyszy ich wołania — widzi jak na dłoni czapkę futrzaną, spostrzega tam swoje pieniądze, widzi jak najstarszy przykucznął i trzyma się za brzuch. I przychodzi mu do głowy jego sen. Ziemi myśli pod dostatkiem — ale czy życia Bóg pozwoli? Ach, ach! zniszczyłem się, zmarnowałem sam! i myśląc tak pędzi i pędzi...

Spojrzał ku słońcu...

Wielka, czerwona, krwawa tarcza dotyka ziemi — zaczyna znikać.

Dopadł wreszcie pagórka i słońce zaszło.

Krzyk boleści dobył z piersi, myśli że wszystko stracone.

Przypomina sobie jednak, że z wyższego miejsca słońce jeszcze ujrzeć może. Drapie się na wzgórek — ot i czapka!.. Potyka się pada, wyciąga ramiona ku czapce.

— Tęgi z ciebie chłop! woła stary.— Zdobyłeś moc ziemi!

Gdy parobek podbiegł, chcąc go podnieść— patrzy: z ust płynie mu krew.

— To trup. Parobek w lament.

Najstarszy kucza na ziemi, śmieje się głośno trzymając się za brzuch. Poczem podniósł się i rzucił parobkowi łopatę. „Zakop tutaj“.

Baszkiry zabierają się i odjeżdżają.

Parobek pozostał sam z trupem. Wykopał Pachomowi grób tyli prawie, ile on mierzył od głowy do nóg — trzy arszyny i zakopał go.

Pochodzenie kwestji Szekspirowej

przez

Arveda Barine'a.

Pewnego dnia, w miesiącu czerwcu 1853 roku, świeżo przybyła do Angliji Amerykanka odsłana Caryle'owi list rekomendacyjny przyjaciela jego Emersona. Cudzoziemka niebawem otrzymała zaproszenie na wieczór do małego domku w Cheyne Row, i Carlyle'owie powitali osobę wieku dojrzałego, zgrabną, o wyglądzie nadzwyczajnie skromnym i nieśmiałym, wywierającą z początku wrażenie sympatyczne. Po pierwszych przywitaniach gość objaśnił spokojnie powód swej podróży. Dowiedziała się, drogą objawienia z góry, że dzieła Szekspira nie są utworem Szekspira, lecz kilku pisarzy z czasów królowej Elżbiety, i przyjechała do Angliji, by zebrać i ogłosić dowody swego odkrycia.

Wiadomo, że spokój i cierpliwość nie były przeważnemi cnotami Carlyl'a. Przy pomocy swej rozległej wyobraźni oburzał się z łatwością i wybuchał burzliwemi eksplozjami. Tego jednak wieczoru stracił język. Osłupiał. Nasza Amerykankb w liście pełnym życia i wdzięku sama opisuje, co się w nim działo, kiedy odzyskał przytomność.

Z początku on i jakiś pan, którego dla mnie zaprosił, zupełnie oniemieli. Zraziła ich moja pewność. Chcesz pani powiedzieć, że... i że... pytał Carlyle, swoim zwyczajem kładąc silnie nacisk na słowach. Odpowiedziałam potwierdzająco i obydwaj spojrzeli na mnie błędnemi oczyma w milczeniu, nie mogąc znaleźć słów, na wypowiedzenie ich zdania o mojej śmiałości. Nakoniec pan Carlyle napadł na mnie. A jak! Nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia. Powiedziałam mu, że słowa jego dowodzą tylko niewiadomości jego o tem, co się w sztukach mieści, że nie można tego widzieć, dopóki wierzy się w ich pochodzenie od tego głupca (ten głupiec — to Szekspir). Wtedy Carlyle począł krzyczeć. Słychać go było na odległość mili. Powiedziałam mu również, że nigdy by mi nie przyszła myśl zaprzeczać jego powadze w tej kwestji, gdyby moje słowa były opinją: ale to wcale nie była moja opinja; ja to wiedziałam. Moja zimna krew oddziałała na nich w końcu i przed odejściem mojem zgodzili się przyjąć to, co o przedmiocie tym złożę im na piśmie. Zostawiłam mu mój wykład.

Raz czy dwa razy, w toku dyskusji, zdumiemienie i gniew ustępowały u Carlyle'a miejsca wesołości. Myśl Amerykanki wydawała mu się tak dziwaczną, że wybuchał swym strasznym śmiechem. Myślałam, że dach się zawali —powiada ten sam list.

Mógł się śmiać ile chciał, złościć, wzruszać ramionami, skończyło się na tem, czego chciała skromna interlokutorka, — otworzył jej łamy wszystkich przeglądów angielskich, aby mogła podzielić się z Europą wielkiem swojem odkryciem. Nie dla tego, żeby widział w niem choćiaż cień prawdopodobieństwa. Pisał do Emersona: „W życiu mojem nie widziałem tragiczniejszej donkiszetorji nad to jej szekspirowskie przedsięwzięcie; niestety! zbierać będzie z niego tylko kłopoty, zmęczenie i zupełne rozczarowanin! Z całego serca robię, co mogę...; niema jednak najdrobniejszej wiarogodności w tej idei którą sobie wbiła w głowę, a nadzieja dowiedzenia jej, znalezienia najdrobniejszego bodaj dokumentu popierającego — godna nadziei zwalczenia wiatraków razami włóczni. Biedna kobieta! Czasem życzę jej w duchu, żeby cała i zdrowa znalazła się u siebie w domu, bo rzeczywiście nie można sobie wyobrazić bardziej szalonych rozmiarów“.

Emerson był również tego zdania co Carlyle. Pomimo to, ze swej strony biegał po wydawcach Ameryki, chcąc unieść rękopisy swe protegowanej. Tych dwóch wzniosłych ludzi wzruszyła głęboka wiara biednej maniaczki, zwyciężył jej spokojny upor.

Nazywa się Delia Bacon i była córką misjonarza amerykańskiego. Młodość jej przeszła na dawaniu lekcji i umieraniu z głodu. Pod czterdziestkę owładnęła nią to, co brat jej, stworzenie zimne i prozaiczne, nazywał bez ogródek „fantazją warjacji“. Opowiadała, że biedny jeden zwichrzony umysł, który dzieła swego niedokończył, poruczył jej odkryć światu „wielką tajemnicę“ tajemnicę, od której zależy szczęście całej ludzkości“. Fantazya warjacji stała się idea fixe i miss postanowiła poświęcić resztę życia na wyzucie Szekspira z uzurpowanej przezeń chwały.

Zdarza się codzień, że warjaci ofiarują światu swe tajemnice i przestało to już być interesującem. Nigdybyśmy nie mówili o Delji Bacon, gdyby usiłowania jej miały skutek, na jaki zasługiwały. Ale jakkolwiek wyda się to niepojętem, dziwnem, dziwaczna fantazja jej chorego mózgu stworzyła szkołę w Ameryce, w Anglji, nawet w uczonych Niemczech. Miss Bacon ma swoich adeptów jeśli nie bardzo licznych, to bardzo przekonanych i czynnych. Dzięki niej, istnieje kwestja Szekspira. Uczciwi i bardzo poważni ludzie w uczonych Towarzystwzch dociekają rzeczywistego ojcowstwa „Hamleta“ i Króla Leara“. Z największą powagą toczą się rozprawy, jakie powody skłoniły autora do przyjęcia zapożyczonego miana. Poważne księgi objaśniają publiczności systemat anagramów i akrostychów. których użył autor, aby obwieścić prawdę wiekom przyszłym. Kwestya Szekspira zrodziła całą literaturę, która sprawia na mnie to samo wrażenie zabukania, jakiego doznał Carlyle. Oddaję ją amatorom paradoksów i mistycznym duszom, znajdą w niej posiłek dla siebie.

Poeiadamy wszystkie szczegóły, jakichby można żądać, o powstaniu nowej doktryny i jej pierwszych krokach w świecie. Zbyt gorliwy uczeń ogłosił w Londynie długą biografię Delji Bacon, i nic nie pozostawił w cieniu. Nie wiem czy to bardzo było przyjemnem dla antyszekspirowców, jeżeli ktoś wykrzykuje, że autorem wielkiego odkrycia była nieszczęśliwa warjatka, którą należało zaryglować.

Można było zrozumieć ze wszystkiego, cośmy powyżej przytoczyli, że miss Delja Bacon była iluminatką. Wyobrażała sobie, że powierzono jej posłannictwo niebieskie. (Ktoby myślał, że nawet tam wysoko tak się zajmują literaturą). Bóg wybrał ją, by dała światu „wiedzę, której świat oczekiwało“. Spełniała wyrok boski.

Czytając Szekspira, odczuła objawienie zamiarów Opatrzności. Światło stało się w jej umyśle i w słynnych tych sztukach dojrzała wzniosłego systematu filpzoficznego, nieznanego dotychczas. Czyjm mógł być ów systemat? Oczywiście nie Szekspira, gdyż ten był „zwyczajnym, niepiśmiennym człowiekiem... głupcem: moralnem zerem, wstrętnością potworną“. Nie pytajcie mię, zkąd wykopała te ciekawe nowiny. Wiedziała, że Szekspir niezdolnym był nakreślić ani jednego wiersza z dzieł, które mu przypisujemy.

Z drugiej strony żaden pisarz ówczesnej epoki, nawet kanclerz Bacon, nie dorastał do zrodzenia systematu filozoficznego, zawartego w tych utworach. Mogą więc one być tylko dziełem zbiorowem wszystkich wielkich umysłów panowania Elżbiety: Bacona, Spencera, Waltera Raleigh'a i t. d. Rzeczywiście, w dziełach mnóstwo jest wewnętrznych dowodów ich współpracownictwa.

Łatwo można zrozumieć, że szło tu przedewszystkiem o jakna prędsze podanio publiczności tych wewnętrznych dowodów. Widzieliśmy, że miss Delia Bacon wyprawiła Carle'a wraz z Emersonem po odnalezieniu jej wydawcy. Później przyłączył się do nich Mathariel Hawthorne, wówczas konsul amerykański w Liwerpoolu. Wszyscy trzej oddali się manji z niezmęczoną pobłażliwością, ale bez przekonania, co ją ogromnie bolało. Im więcej rękopisów pzzysyłała im, tem więcej obstawali przy niedowiarstwie. Carlyle pisał do Emersona: „Rozwiązanie swego szekspirowskiego zagadnienia wyciąga z najtajniejszych głębin swego umysłu, pogardzając pogardząc pozornie — chyba, że to jest rozpacz lub niedbalstwo — wszelkimi dowodami muzeów lub archiwów“. Emerson upierał się wciąż i żądał również dokumentów. Tylko Hawthorne zdaje się dobrze zrozumiał umysł swej , [illegible]. N[illegible] gdy jej nie przeczył i pomagał jej opłacać komorne.

Wydawcy angielscy przez długi czas buntowali się. Jakaś panika ogarniała ich, kiedy poznawali treść rekomendowanej im książki. Wydawcy amerykańscy opierali się również wszelkim prośbom. Nakoniec jakiś przegląd w New-Yorku zdecydował się zaryzykować i ogłosił pierwszy rozdział o słynnych „wewnętrznych dowodach“. Mamy je przed oczyma. Jestto długie pasmo zboczeń, przeplatane obelgami pod adresem Szekspira, tego brudnego komedjanta tego złodzieja, zdrajcy, bisurmana i pod adresem głupców, którzy przypisują mu utwory wydane pod jego nazwiskiem. Prenumeratorzy tak się przelękli, że przegląd uważał za stosowne na tem poprzestać i dalszy ciąg odesłał Emersowi.

Biedna Dalila zrozumiała, że ordynaryjuym umysłom potrzeba dowodów materyalnych, widocznych dotykalnych. Opatrzność to rozumiała również i postarała się dostarczyć jej odpowiednich środków. Pewnego dnia, kiedy Hawthorne'a:

„Bardzo stała się udzielającą i rozmowną o swej teoryi; byłaby nią jeszcze więcej, gdybym sobie tego życzył; ale czując się niezdolnym do uwierzenia, uważałem za uczciwe raczej je wstrzymywać, niż dodawać otuchy...

„Dawnom już słyszał o jej przekonaniu, że dowody materyalne jej dogmatu znaleźć można w grobie Szekspira wraz z kluczem nowej filozofji. Ostatniemi czasy idea ta, zmodyfikowała urosła w jej umyśle i obecnie skrystalizowała się ze wszystkiemi szczegółami, z zupełną pewnością o jej rezultaty. W listach lorda Bacona odnalazła słowo zagadki. Tam kryły się dokładne i szczegółowe instrukcye o testamencie i innych dokumentach, tyczących owego konklawe filozofów z cóasów Elżbiety. Wszystkie te papiery schowane są (kiedy i przez kogo, nie powiedziała mi) w wyżłobieniu na powierzchni dolnego kamienia grobowca Szekspira.

(Ciąg dalszy nastąpi).